

Kiedy w lecie 1967 r. wybuchła wojna izraelsko-arabska, kończyłem staż w warszawskiej Fabryce WYROBÓW PRECYZYJNYCH im. gen. Świerczewskiego, później znanej jako VIS. Mimo że, jak u wielu ludzi, moje sympatie były po stronie izraelskiej (nie tyle z powodu pochodzenia, ile dlatego, że obóz komunistyczny popierał stronę arabską), nie angażowałem się emocjonalnie.



Po kilku dniach wojna bliskowschodnia przestała być tematem numer jeden, a co najwyżej pozostała obiektem uwag wśród ludzi zaufanych. Nawet sąsiad z dołu, młody plastik tego samego trefnego pochodzenia co ja, zagadnięty w tej sprawie zaśmiał się i odparł: „Masz na myśli awantury i wybryki izraelskiej republiki”! Moi znajomi drwili z wrogów Izraela, że tak łatwo dali się pokonać.

Późną jesienią tematem dnia dla większości stało się wystawienie „Dziadów” Mickiewicza w warszawskim Teatrze Narodowym w reżyserii Kazimierza Dejmka. Były tam co wieczór demonstracyjne aplauzy publiczności po każdej kwestii nawiązującej do zniewolenia Polaków

przez carską Rosję, którą, oczywiście, utożsamiano ze Związkiem Sowieckim. Pod koniec stycznia 1968 r. władze PRL nakazały zdjąć sztukę z afisza, co spowodowało, że młodzież uniwersytecka wyszła protestować pod pomnikiem Mickiewicza.

W pierwszych dniach marca wysłano mnie wraz z panem Tadeuszem, elektrykiem, do Krakowa, żeby poznać zainstalowane tam nowoczesne urządzenia do kontroli temperatury obróbki. Ja miałem zobaczyć, jak system działa, on miał pozapisywać połączenia elektryczne. Wróciliśmy do Warszawy późnym wieczorem w czwartek 7. Gdy nazajutrz rano udałem się do pana Tadeusza, jak umawialiśmy się jeszcze w pociągu, powiedziano mi, że nie ma go i chyba nie będzie do końca dnia. Podobno dostał telefon i musiał wyjść. Na moje pytania obecni w kantorku nabrali wody w usta. Dopiero ktoś w dziale głównego technologa szepnął mi na boku do ucha: „To ty nie wiedziałeś, że on jest w ORMO? Pojechał pałować studentów”.

Nie byłem w Warszawie od kilku dni, więc o tym nie wiedziałem. Po powrocie z pracy złapałem „Życie Warszawy”. Z artykułu zatytułowanego „Komu to potrzebne?” po raz pierwszy dowiedziałem się o „bananowej młodzieży i bezsensownych burdach, jakie urządzają rozpasane dzieci pewnych prominentów i do jakich próbują wciągnąć studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Milicja Obywatelska zmuszona była przywrócić porządek, a pomogli jej w tym ochotnicy - robotnicy zatroskani o to, by nasza młodzież uczyła się, a nie zakłócała spokoju na Krakowskim Przedmieściu”.

W taki oto sposób dowiedziałem się o początkach jednego z największych wstrząsów w historii powojennej Polski. Tegoż samego wieczoru u sąsiadów usłyszałem o masowych protestach studentów i o tym, że milicja wraz z ORMO wjechała autobusem na teren uniwersytetu, który uważany był do tej pory za sanktuarium, i tam bez skrupułów brutalnie bito studentów. Zamieszki przeniosły się na ulicę. Ponoć z balkonów na milicjantów poleciały kwiaty, ale w doniczkach. Było ich niemało, zważywszy na przypadający akurat Dzień Kobiet. Studenci protestowali z powodu relegowania z uczelni kolegów za zorganizowanie tej manifestacji przeciwko zdjęciu przez cenzurę z afisza teatralnej inscenizacji „Dziadów” Mickiewicza, o której słyszeliśmy wcześniej.

Przez kolejne dni napięcie w Warszawie rosło i dochodziło do konfrontacji ulicznych między studentami a milicją i tzw. ochotniczą rezerwą, czyli ORMO. Pan Stasio, zażywny i zawsze wesoły technik, który miał biurko vis a vis mojego, też się ujawnił jako ormowiec i już od poniedziałku przychodził dumny do pracy z długą gumową pałą. Przeważnie przed dziesiątą dostawał telefon, po czym wraz z innymi wsiadał do podstawionego autobusu i nie było go do końca pracy. Społeczeństwo wrzało. Obiegła Warszawę wiadomość, że ormowcy wtargnęli do kościoła Świętego Krzyża naprzeciwko uniwersytetu, by brutalnie wyciągać szukających tam

schronienia przed pobiciem studentów. Oficjalna prasa donosiła, że studenci „demolowali wnętrze kościoła i ORMO zmuszone było reagować”. W pokoju w pracy mówiono o tym, kiedy Stasia nie było; gdy zjawiał się z rana, temat był zmieniany. Ale tym razem Stasio sam się odezwał: „Panie Witku, już wiadomo, kto te burdy robi!”. Spokojnie poprosiłem, żeby mi wyjaśnił. „Nie domyśla się pan? A kto niszczyłby ołtarze w kościele? Przecież nie Polacy”. Nachylił się konfidencjonalnie i ściszył głos: „Okazuje się, że to sami pejsaci”. Zastanawiałem się, czy Stasio różnie głupa, czy wierzy w to, co sam mówi. I czy jest aż tak głupi, że nie wie, do kogo mówi? Przecież byłem świadomy tego, że niektórzy za moimi plecami szeptali, bo czasem to do mnie wracało, choć nikt nigdy nie powiedział mi niczego obraźliwego. Zresztą wiedzieli, że ja się czuję wyłącznie Polakiem.

W tydzień później oglądaliśmy w telewizji przemówienie szefa partii Gomułki, w którym nazwał Żydów w Polsce „piątą kolumną”. Oświadczył, że można mieć tylko jedną ojczyznę i kto chce, będzie mógł wyjechać do Izraela. Od tego dnia zaczęła się oficjalna bezpardonowa i nikczemna nagonka na „syjonistów”. Ówczesna władza nie chciała uchodzić za antysemitkę, więc oficjalnie nie piętnowano Żydów, tylko syjonistów, ale na wiecach przymykano oczy na treści żydożercze, jak „Mośki do Dajana”, a czasem idiotyczne -jak „Syjoniści do Syjamu”.

Protesty i strajki studenckie rozszerzyły się na inne uczelnie i ogarnęły cały kraj. Któregoś dnia w pracy głośno mówiono przy Stasiu, jak to ormowcy udają studentów i próbują dostać się do gmachu politechniki, gdzie trwa strajk, ale studenci stojący na warcie przy wejściu każą im powiedzieć, ile wynosi całka z.dx. Stasio też się dobroduszenie śmiał i nawet pytał nas o prawidłową odpowiedź. Powiedzieliśmy mu, ale celowo źle.

Studenci pisali odezwy. Protestom impetu dostarczały wieści zza miedzy o Praskiej Wiośnie, gdzie szef czechosłowackiej partii Aleksander Dubczek zgodził się na daleko idącą liberalizację życia w tym państwie. Strajkujący wywieszali transparenty z napisem: „Cała Polska czeka na swego Dubczeka”. Ulice oblepione były ulotkami. Wielu studentów aresztowano i wyrzucono ze studiów z wilczym biletem.

Wiosną rozeszła się po fabryce wieść, że skierowano do nas „na reedukację pracą” dwóch relegowanych studentów Uniwersytetu Warszawskiego. O ile pamiętam, nazwisko jednego z nich brzmiało Szlajfer. Któregoś dnia spotkałem ich w jednej z hal fabrycznych i zapytałem po cichu, czy są dobrze traktowani. Usłyszałem odpowiedź twierdzącą, ale wyczułem, że nie mają ochoty na rozmowę. Nie mogli wiedzieć, kim jestem i woleli nie ryzykować.

Wrzenie trwało kilka miesięcy. Z partii wyrzucano masowo członków pochodzenia żydowskiego. Z pracy wyrzucano profesorów, lekarzy i zwykłych pracowników. Komunistycznych bonzów i spokojnych ludzi, nie- mających nic wspólnego z polityką. Nawet takim, co dotychczas o swoim żydowskim pochodzeniu nie wiedzieli, dobierano się do rodowodów. Ludzi szczerzo i zmuszano do wyjazdu z utratą obywatelstwa. Matka mojej koleżanki Żydówki popełniła samobójstwo, skacząc przez okno. W tramwaju usłyszałem kiedyś w tłoku czyjaś wypowiedź: „Co te Żydy w Polsce wyprawiają!”. Niestety, byli tacy, którym cała ta haniebna nagonka przypadła do gustu. Na Dworcu Gdańskim odjeżdżających żegnali zażenowani polscy przyjaciele. Ale słyszałem też pogardliwe uwagi o „Mośkach zalegających perony”.

„Oczyszczamy szeregi partii” głosiły tytuły gazet, donosząc o kolejnych usunięciach. Oportuniści i cwaniacy zaś wstępowali do partii, czemu towarzyszyło szeptane powiedzenie: „Oczyszczamy szeregi bezpartyjnych”.

Czekałem, czy ktoś przyczepi się do mnie. Nie spadł mi nawet włos z głowy, ale po dwóch latach, kiedy odchodziłem z fabryki, by podjąć pracę badawczą w Instytucie Mechaniki Precyzyjnej, wyznał mi kolega, że otrzymał wówczas polecenie zapytania mnie, kim ja się czuję, który kraj uznaję za swój, ale odpowiedział, że to świństwo i dali mu, a przez to i mnie, spokój. Pozostałem w swojej jedynej Ojczyźnie.

Marzec 1968 to ponura data w historii Polski. Hańba w oczach cywilizowanego świata. Studenci nie wywalczyli zmian. Władzy skutecznie udało się poróżnić robotników z inteligencją. Przeznaczeniem Polaków było przeżyć kilka kolejnych wstrząsów, nieco ponad jeden rok „Solidarności” i stan wojenny, a na wolność poczekać jeszcze 21 lat.

Od tamtych dni minęło ponad pół wieku. Marzec 1968 r. opisano w książkach historyków, publikacjach wspomnieniowych i w filmach dokumentalnych. Wydawałoby się, że w wolnej Polsce, po lekcji Holocaustu i tego Marca, który przyniósł nam tylko wstyd, antysemityzm w przedwojennym wydaniu po prostu nie może wrócić. Kiedy w latach 90. media biły na alarm, że w Radiu Maryja pojawiają się antysemickie enuncjacje, często słyszałem głosy uspokajające, że to margines, do potępienia, ale nie ma się czego obawiać. „Kto tego słucha?” - tłumaczono mi.

Różne ugrupowania w XX stuleciu odwoływały się w celach politycznych do najniższych instynktów ludzkich, wskazując wroga, i nie miało znaczenia, że był wyimaginowany. Często padało to na podatny grunt. Ofiarą nagonki rozpętanej w 1922 r. przez endecję został prezydent Gabriel Narutowicz za to, że na niego głosowali m.in. posłowie żydowscy. Jego zabójca,

Eligiusz Niewiadomski, do dziś jest czczony przez niektórych jako „człowiek z zasadami”. W 1968 r. pewna część społeczeństwa przyklasnęła ohydzie. A dziś, w rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz, gromada nacjonalistów pod wodzą Piotra Rybaka, wcześniej karanego za spalenie kukły Żyda, bezkarnie wykrzykuje hasła nienawiści wobec polskich Żydów. Na YouTube, pod wideo z mową nienawiści byłego księdza Międlara i szeregu innych, można przeczytać liczne komentarze wychwalające te toksyczne treści. Nie wstydzą się antysemitkiej retoryki niektórzy znani dziennikarze, a nawet politycy. Smutnym przykładem był ostatnio niegodny atak Rafała Ziemkiewicza na prof. Rafała Pankowskiego, współzałożyciela Stowarzyszenia „Nigdy Więcej”, człowieka, który z poświęceniem promuje tolerancję wobec innych ras i kultur. Według dokumentacji prowadzonej w „Brunatnej Księdze” wydawanej przez to Stowarzyszenie liczba napaści na tle rasistowskim i ksenofobicznym w Polsce wzrosła w ostatnich trzech latach znacznie. Nie tylko wobec Żydów. Stworzono skutecznie klimat strachu przed uchodźcami z bratobójczej wojny w Syrii, ogłoszono, że są oni terrorystami i ponadto przenoszą zarazki. Antysemita i rasiści wszelkiej maści wyczuli, że jest przyzwolenie na sianie nienawiści, a władze przymykają oko na wybryki.

Marzec 1968 r. przyniósł Polsce złą sławę. Komentarze na świecie często niesprawiedliwie uogólniają zło wyrządzone przez część społeczeństwa na cały naród. Nie można przecież zapomnieć o Sprawiedliwych wśród Narodów Świata ani o milionach ludzi, którzy może niczego wielkiego nie dokonali, ale nigdy nie dołączyli do jakiegokolwiek nagonki i traktują mniejszości z należytym szacunkiem. Ostatnie obraźliwe i niesprawiedliwe wypowiedzi izraelskich polityków zaogniły stosunki dyplomatyczne z Polską i wywołały falę nowego hejtu rasistowskiego. Oni, oskarżając wszystkich Polaków za czyny niechlubnej części, adresowali te treści do skrajnie prawicowego i nacjonalistycznego elektoratu w Izraelu, prowadząc swoją kampanię wyborczą. Dla ludzi tego pokroju Polska jest zbyt słaba politycznie, by się z nią liczyć. Znani polscy publicyści, artyści i politycy od lat nie szczędzą wysiłku, by przedstawiać naszą historię uczciwie i mierzyć się z bolesnymi faktami. Ani my, ani żadna inna nacja nie jesteśmy narodem wybranym. Są u nas, jak w każdym narodzie, ludzie wspaniali i podli, mądrzy i głupi, odważni i tchórze. Jak wszędzie. Inne narody też mają swoje czarne karty. Niestety, działania nacjonalistów głośno krzyczących o własnym, swoście pojętym hurrapatriotyzmie i jakiejs mitycznej wyższości Polaków czy białej rasy nad innymi, bądź przypisujących wszystkim wywodzącym się z innych ras najgorsze cechy i zamiary sprawiają, że wysiłki tych pierwszych stają się Syzyfowymi pracami. Czy to się kiedyś skończy?

Opracował: Aron Kohn, Hajfa – Izrael